

Teksty Drugie 1990, 1 , s. 63-69



Widok z Vancouveru

Bogdan Czaykowski

Bogdan Czaykowski

Widok z Vancouveru

1. „Uboga kuzynka znowuż porosła nieco w piórka.” To cytat z listu do Adama Czerniawskiego, z połowy lat 60-ych. „Ubogą kuzynką” jest w tym wypadku literatura polska. Tak mi się jawiła, gdy studiowałem w Dublinie, a następnie u Pietrkiewicza w Londynie i gdy w połowie lat 60-tych przygotowywałem listy lektur na kurs literatury polskiej w przekładach. Ubogie były te listy lektur, bo nawet, gdy przekłady istniały, większość z nich nie miała wartości literackiej. Od tego czasu nastąpił dramatyczny przełom: Gombrowicz, Witkacy, Schulz, Miłosz, Herbert, Różewicz, Borowski, Lem, Szymborska, Mroźek — to pierwsze w ogóle w historii piśmiennictwa polskiego rzeczywiste przekroczenie bariery językowej, wejście w krwioobieg literacki kultury zachodniej, po latach powszechnego przekonania, że literatura polska albo jest zaściankowa, albo niezrozumiała bez znajomości tła historycznego (stąd, choć nie tylko, świadomy „historycyzm” podejścia Miłosza w jego *The History of Polish Literature, 1969*).

Wymienione nazwiska to tylko cząstka autorów polskich, których utwory dotarły w większym lub mniejszym nakładzie do czytelników zachodnich i spotkały się z reakcją krytyków. Dodajmy do tej listy jeszcze trochę nazwisk, aby zarysować zakres zjawiska. A więc: Andrzejewski, K. Brandys, Białoszewski, Barańczak, Głowacki, Herling-Grudziński, Iwaniuk, Kapuściński, Karpowicz, Kołakow-

ski, Konwicki, Kuncewiczowa, Lec, Lipska, J. Mackiewicz, M. Nowakowski, Pankowski, Parnicki, Staff, Szczepański, Świrszczyńska, Wat, Wierzyński, Wittlin, Zagajewski. To oczywiście ciągle lista niepełna.

Przekroczenie bariery językowej przez literaturę polską pociągnęło za sobą oczywiście reakcję krytyczną. Reakcja ta nazbyt może często jest autorstwa polskiego, gdyż ze zrozumiałych względów redakcje czasopism korzystają z obeznania z literaturą polską krytyków i polonistów pochodzenia polskiego; nie tylko jednak, i coraz więcej recenzji, artykułów i prac naukowych na temat polskich autorów wychodzi spod pióra osób niepolskiego pochodzenia. Szczególnie czasopisma poetyckie poświęcają wiele uwagi przekładom z poezji polskiej, przekłady takie chętnie drukują, a w rozważaniach o stanie poezji współczesnej i bieżącej twórczości poezja polska stanowi nieraz nie tylko punkt odniesienia, ale i miernik.

Recepcja krytyczna literatury polskiej na Zachodzie rzutuje oczywiście na kwestię kanonu i interpretacji literatury polskiej dwudziestego wieku; przejawia się w niej nie tylko inna perspektywa, ale i szersza sieć odniesień, czasami o charakterze świadomie porównawczym.

Czy zarysowane tu zjawisko przekroczenia bariery językowej przez literaturę polską pozwala mówić, jak to uczynił niedawno Czesław Miłosz w wykładzie na Uniwersytecie Jagiellońskim, o powstaniu „polskiej szkoły” w literaturze światowej („Tygodnik Powszechny” 15.X.1989)? Nie jest jasne, w jakim stopniu Miłosz obejmuje tym twierdzeniem nie tylko poezję, ale także prozę i dramat, chociaż sądząc po wymienionych przezeń nazwiskach, chodzi raczej o polską szkołę poezji. W tym węższym zakresie twierdzenie Miłosza wydaje się całkiem uzasadnione. Można zaryzykować przypuszczenie, że nie słabnące zainteresowanie powojenną poezją polską pociągnie za sobą z biegiem czasu przekroczenie bariery językowej także przez poezję wcześniejszą, co zresztą już powoli następuje: można przykładowo wymienić Norwida (przekłady Czerniawskiego na język angielski, rezonans w Niemczech), Leśmiana, a nawet Kochanowskiego (nowe przekłady w tomie *Monumenta Polonica: A Bilingual Anthology*. Michigan Slavic Publications, 1989).

Te nowe konkretyzacje, zarówno utworów współczesnych jak i dawniejszych, poszerzają dotychczasowy zakres literatury polskiej i zasługują na większą uwagę, niż to miało miejsce dotychczas. Nie trzeba dodawać, że poszerzenie zasięgu recepcji krytycznej i czytelniczej

literatury polskiej i jej funkcji w procesach literackich innych krajów i kultur nie byłoby możliwe bez wkładu całej plejady tłumaczy. Na jednym tylko obszarze języka angielskiego zastęp ich obejmuje ponad dwadzieścia nazwisk. Należą tu Miłosz, Czerniawski, Pietrkiewicz, Wieniewska, Singer, Welsh, Peter Dale Scott, John i Bogdana Carpenter, Iribarne, Lourie, Vallee, Hass, Gorczyńska, Darowski, Busza, Barańczak, Cavanagh, Higgins, Bassnett, Kuhiwczak, Pinsky, Wilson, Contoski i wielu innych. Jest to więc dalszy i osobny temat, który wymaga dokładniejszego rozpoznania. Jednym z jego ważnych aspektów jest sprawa jakości i dorobku przekładowego, a czekają tu na badaczy różne niespodzianki, jak na przykład ta, że niektóre powieści Gombrowicza tłumaczone były na angielski z francuskiego, a nie bezpośrednio z polskiego, lub że nie zawsze dbano o integralność tekstu (jak np. w wypadku *Popiołu i diamentu*). Ktoś powinien także sprawdzić, czy nie było marnowaniem pieniędzy wydawanie przekładów robionych w Polsce.

2. Jeżeli uzasadnione jest twierdzenie o powstaniu polskiej szkoły w literaturze światowej, to nie da się tego powiedzieć o polskim literaturoznawstwie. Perspektywa z zewnątrz każe tu stwierdzić, że nie istnieje polska szkoła teorii literatury, jako że skądinąd wybitny dorobek Ingardena okazał się jak na razie słabo przekładalny na kategorie metodologiczne. Pozostawiona w tyle za rozwojem teorii literackich na Zachodzie przez okres stalinizmu, ciężąca jeszcze i potem w kierunku metod genetyczno-historycznych i *quasi*-socjologicznych, teoria literatury w powojennej Polsce robi wrażenie gorączkowego asymilowania coraz to nowych prądów zachodnich i ich dosyć eklektycznej adaptacji, co w praktyce dawało nieraz bardzo wartościowe rezultaty, ale z zewnątrz jawi się jako brak wyraźnego profilu. Być może, właśnie w tym dotychczasowym charakterze teorii literatury w Polsce jest zadatek na zasadniczą i k r y t y c z n ą syntezę, przy czym można by argumentować, że w dzisiejszym stanie kultury literackiej na Zachodzie (a Polska jest pod tym względem bardziej „zachodnia” niż mogłaby się wydawać) mało co jest tak potrzebne jak radykalne poddanie tego, co Miłosz określił jako kolejne „szaty teoretyków we Francji, marksistów, strukturalistów, dekonstrukcjonistów...” analizie czerpiącej inspirację z polskiego „zacofania” (by posłużyć się raz jeszcze określeniem Miłosza).

Aby uniknąć nieporozumienia: rozumiem szansę, przed jaką stanęła kultura polska, a w tym i literatura, inaczej nieco niż Miłosz. Kolejnych szarów teoretycznych nie da się po prostu odrzucić, czy traktować jako tylko niszczących aberracji umysłów rozmiękczo-nych subiektywizmem i porażonych nihilizmem. W szalach tych (oprócz ich uwarunkowań czysto instytucjonalnych) przejawia się zarówno poczucie niemożności utrzymania wielu z dotychczasowych założeń w obliczu rewolucji semiotyczno-lingwistycznej (by tak ją skrótowo określić) jak i wzrastająca świadomość przekształceń samej kultury (a więc stanu *mentalité* oraz rodzaju doświadczeń i poziomu wiedzy, kompetencji i smaku odbiorców). Siły przekształcające współczesną *mentalité* czerpią swoją energię między innymi z radykalnego rewidowania dotychczasowych założeń i pojęć stosunków międzyosobowych i społecznych (feminizm, ekologiczne widzenie *oeconomii* ludzkiej), nowego pojmowania przestrzeni znakowej i sposobu jej funkcjonowania, krytycznego stosunku do wszelkiej aksjologii w związku z przekonaniem o jej instytucjonalnych oraz społecznych, politycznych i etnocentrycznych uwarunkowaniach (nowa antropologia, etnopoetyka, szczególnie pojemność pojęcia ideologii), oraz z kłopotów związanych z ontologią i typologią (pojęcie autora, dzieła literackiego, itd.). Traktowanie tych zjawisk w kategoriach opozycji „moda — staroświeckość” byłoby z góry skazaniem staroświeckości, nawet tej najlepszej, na przegraną. Miłosz jest oczywiście świadom, że nie takie to wszystko proste, skoro jest np. gotów włączyć Gombrowicza do nurtu przeciwstawiającego się tendencjom odrealnienia świata, choć włączenie to odbywa się na poziomie tak już elementarnym („bo jednak wprowadzał poprawkę zasadniczą: ból jako sprawdzian rzeczywistości”), że jest osłabieniem raczej niż wzmocnieniem postulowanej szkoły „rzeczywistości autonomicznej”. Na szczęście nie tylko polska poezja, ale i polska myśl teoretyczna i krytyczna „włączają” się już od dosyć dawna w „demoniczne obrzędy dwudziestowiecznej” refleksji i teorii: na szczęście, gdyż bez tego włączenia się „korzyści zacofania” mogą mieć co najwyżej charakter moralnej satysfakcji, że lepiej „przegrać, niż wygrać jak oni”. To już bardzo dużo, szczególnie w wypadku jednostki, ale to nie wystarczy jako program sprawdzenia i ocalenia wartości oraz urealnienia myśli w skali grupy zawodowej, społeczeństwa, kultury, cywilizacji. Bowiem w tej szerszej skali pozostawić demonom teren współczesnego idiomu pojęciowego to znaczy zerwać więz z tymi, dla

których cała ta „sztuka dla sztuki”, jaką się uprawia przede wszystkim, podobno istnieje. Na Zachodzie daje się zresztą zaobserwować pewne otrzeźwienie wśród uprawiaczy szarów, wynikające częściowo przynajmniej z uświadomienia sobie postępującej izolacji superczytelników i teoretyków w społeczeństwie, i wzrastającej niechęci funduszo dawców do subsydiowania poczynań skrajnego teoretyzmu (by go tak doraźnie nazwać).

3. W ostatnich latach obserwowaliśmy żywiołowo narastające próby wypełniania białych plam na mapie literatury polskiej, tej rzekomo „jednej i niepodzielnej”. Krytyka literacka też brała w tym udział, chociaż do odrobienia pozostało jeszcze bardzo dużo. Nie istnieje, na przykład, zintegrowana historia powojennej literatury polskiej napisana z perspektywy krajowej, a przy tym świadoma sproblematyzowania się samego pojęcia historii literatury. Działają także w atmosferze zarówno taryfy ulgowe jak i taryfy obostrzeniowe. Uwolnienie od nich krytyki literackiej wymagać będzie pracy badawczej, wyobraźni i dobrej woli oraz nie mieszania kryteriów moralnych i ideologicznych z estetycznymi. Ponieważ jednak ostre oddzielenie tych kryteriów niejednokrotnie nie jest łatwe, wydaje się sprawą istotną, by do swoich praw wróciła wolna zarówno od ideologicznej stronniczości, jak i od moralnego zacietrzewienia socjologia i socjologicznie zorientowana historia literatury. Niech czyny jednostek i zachowania się środowiska, niech mechanizmy wdrażania do dyspozycyjności i jej utrzymywania zostaną pokazane najpełniej i najdokładniej, ale niech uwzględnione zostaną również motywacje i sytuacje (w odróżnieniu od tzw. „układów”). Potrzebne jest nie tyle osądzanie (które i tak się odbywa i będzie odbywać), co możliwie najpełniejsze i najostrejsze zrozumienie całego kompleksu zagadnień związanych z warunkami wojennej i powojennej rzeczywistości. Jaki charakter, na przykład, miała oferta kolaboracji złożona władzom sowieckim w artykule Aleksandra Wata z 5 grudnia 1939 roku, publikowanym w „Literaturnoj Gazecie”? Jak na życie literackie w Polsce oddziaływało istnienie politycznej emigracji i jej ośrodków i czasopism? W jakim stopniu niezłomność emigracyjna nie tylko upraszczała dylematy krajowe, ale też wytwarzała swój własny rodzaj nietolerancji i ideologicznego szantażu? Jak powszechne było w latach 1935-1950 przekonanie wśród polskich literatów, że „dla Polski nie ma miejsca na ziemi”? Cytowane zdanie pochodzi z fragmentu wspomnień Miłosza („Kul-

tura”, nr 7-8, 1989), gdzie jego pojawienie się zostało przygotowane ze zwykłą u tego pisarza retoryczną starannością:

Do czego zmierzam? Do odsłonięcia rąbka kurtyny, bo tragedia Polski, mało mająca sobie równych, dotychczas pozostaje zakryta. A to z tego prostego powodu, że podział na kraj i emigrację zmuszał do przyjęcia jednej albo drugiej wypaczającej perspektywy. Należało więc przemilczeć, „żeby nie dostarczać argumentów wrogowi”. I niektóre straszne prawdy nie są dotychczas głośno wypowiedane.

Literatura polska, i wszystko to, co z istnieniem literatury jest związane, od dwustu lat rozwijała się w polu sił wytwarzanych przez tragedię Polski, a przykład Gombrowicza świadczy, że nawet skrajny, nietscheański indywidualizm genialnie skoncentrowany na problemie nadczłowieczej nędzy metafizycznej nie mógł presji tych sił po prostu ignorować. Naród jest to „zespół pomocy danych człowiekowi, by mu ułatwić stosowanie prawdy... dlatego człowiek bez narodowości jest człowiekiem niepełnym... zdolny wiedzieć, ale nie zdolny działać”. Tak to widział Mickiewicz. Jakież zgrzyty niezamierzonej ironii wydobywają się z tych pięknych słów. Ale określenie „tragedia Polski” samo ma charakter kurtyny, jest wprowadzaniem abstrakcji przesłaniającej rzeczywistość. Bowiem za nią ukrywa się tragedia jednostek, zdrada konkretnego człowieka nie przez literaturę, bo to znowu abstrakcja, lecz przez konkretnych pisarzy. Przed krytyką polską i socjologią literatury stoi możliwość odsłonięcia całej kurtyny, a nie tylko jej rąbka. I powinno to być zrobione zarówno dlatego, że jest to sam w sobie arcyciekawy temat, ale również dlatego, że wszystko, co ma do czynienia z literaturą i jej twórcami, należy do sfery świadomości, bez której człowiek jest tylko ślepą siłą, lub narzędziem innych.

4. Powojenna krajowa krytyka literacka odzyskała po okresie stalinizmu i socrealizmu sporą dozę utraconej uprzednio autonomii (co oczywiście nie znaczy, że cieszyła się pełną swobodą) i ma na swoim koncie książki i prace nie tylko wnikliwe, ale nieraz znakomite. Niemniej zarówno cenzura, jak i uwarunkowania życia literacko-akademickiego oraz wydawniczego odcisnęły na niej swój ślad, momentami wysoce negatywny. Szczególnie trudną sprawą stała się krytyka wartościująca. Stronienie od bezpośredniego wypowiedzania własnego zdania, częściowo powodowane asekuranctwem, częściowo cenzurą, a niejednokrotnie również profesjonalizowaniem, czy unaukowieniem (czasami zresztą bardziej pozornym,

frazeologicznym, niż rzeczywistym) dawało w rezultacie rodzaj niewybrednego dyskursu, w którym rzeczy lepsze i gorsze pływały, czy tonęły w sosie ochronnej barwy na prawach jeśli nie równych to sprzyjających niwelacji poziomów, kryteriów i wartości („jeden z lepszych tomów wierszy wydanych w tym półroczu przez regionalne wydawnictwo N.”). Czasami cierpliwość dobrych krytyków się kończyła, jak choćby wtedy, gdy zorientowano się w rozmiarach tendencji stylizatorskich, ale w sytuacji, gdy czasopisma takie jak „Poezja” i tygodniki kulturalne musiały zapełniać szpalty i tworzyć wrażenie ruchu literackiego, a polityka kulturalna dysponowała, inspirowała i selekcjonowała według klucza partyjnego i ideologicznego (by tylko wymienić publikowanie dzieł zebranych nomenklaturowych miernot), łatwo było o podobne zafałszowanie zjawisk i mierników jak w wypadku systemu gospodarczego. Czy Sandauer był niezależnie myślącym krytykiem, weredycznym powojennym merytorystą à la Irzykowski, czy też (jak tego chciał Barańczak) wysługującym się władzom agentem, zdolnym do fałszowania danych, gdy to było wygodne polityce kulturalnej partii? Wielką zasługą takiego pisma jak „Teksty” była próba przywrócenia krytyce autentycznego głosu i autonomii wartościowania.

5. Na koniec muszę się przyznać do rzeczy, którą być może powinienem ukrywać, jako coś, co źle o mnie świadczy: mam straszne problemy z czytaniem powojennej narracyjnej prozy polskiej, zarówno tej konformistycznej, jak i niezależnej, a także i tej pośrodku. Być może, winę ponosi moje długoletnie wyobcowanie z mowy potocznej, będzie więc lepiej po prostu wyznać, jak na spowiedzi, bez dalszych uzasadnień. Mógłbym ten fragmencik zatytułować: *Między zdrobnieniem a zgrubieniem*, lub: *Powojenne narratowisko*, lub: *Wyjęzycznianie zbrzydzenia*. Oczywiście, są wyjątki, np. proza Dąbrowskiej, Filipowicza, Szczepańskiego, Herberta, Kapuścińskiego, wczesnego Różewicza, Woroszyłskiego, Mrożka, Gombrowicza, Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego. Co mnie szczególnie martwi, to przeniknięcie podobnych tendencji do poezji i dramatu. Być może, mamy tu do czynienia z przerzutami symptomu (za które autor tego określenia sam był częściowo odpowiedzialny). Ale rysuje mi się szersza korelacja, w której np. zastąpienie kategorii sztuki pisarskiej czy poetyckiej kategorią poetyki czy języka poetyckiego i forowanie specyfiki stylu jako wartości nadrzędnej jest symptomatyczną częścią ogólniejszego zjawiska.